

Zofia Łosiewicz-Chmurowa

Takie dalekie - a bliskie

Przegląd Pruszkowski nr spec., 53-61

2014

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych oraz w kolekcji mazowieckich czasopism regionalnych mazowsze.hist.pl.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZOFIA ŁOSIEWICZ-CHMUROWA
Matura 1945 (lata 1938 – 1945)

TAKIE DALEKIE – A BLISKIE
Przedrukowane z „Przeglądu Pruszkowskiego” nr 1/1991

Na temat naszego zaniackiego życia pisałam już dość sporo, gdyż przypadł mi w udziale miły zresztą, choć trochę absorbujący obowiązek opracowania rozdziałów monografii szkoły, dotyczących lat od jej powstania do zakończenia drugiej wojny światowej.

Więc, gdy Irenka Horbanowa, przewodnicząca Komisji Historycznej, oświadczyła mi przez telefon, że mam w ciągu trzech dni „napisać coś ze wspomnień”, najpierw pokornie się zgodziłam, bowiem Irena – pedagog na miarę archanioła (mam na myśli ognisty miecz na nieposłusznych), ma coś takiego w głosie, że nie sposób się wymigać. Następnym jednak uczuciem, które mną owładnęło, był popłoch, co tu pisać? O latach okupacyjnych napisałam wszystko, co wiedziałam. O naszej maturze, która była pierwszą powojenną u Zana, dałam już swoje wspomnienia, zamieszczone w monografii szkoły w rozdziale pisanym przez Aleksandrę Gruszczyńską. Zatem, poszperawszy w lamusie wspomnień, doszłam do wniosku, że powinnam tym razem sięgnąć do roku szkolnego 1938/39, jedyne go roku, kiedy zasiadałam w ławie przedwojennego Gimnazjum im. Tomasza Zana, jako uczennica klasy I a, Strach pomyśleć, jak to dawno temu, a jednak pamiętam twarze większości uczennic i uczniów, choć kontakt mam zaledwie z trzema koleżankami, a mianowicie: Basią Gnoińską, Basią Woźniakowską (obecnie Woźniak – nie bardzo, jak widać, zmieniła nazwisko) oraz z Teofilą Jakubowska (obecnie Pytkowska). Zacznijmy jednak od początku, jak prawidłowo napisane wypracowanie.

Nasza gromadka spłoszonych pierwszoklasistów miała „swoją” klasę na pierwszym piętrze, pierwsze drzwi na prawo, licząc od „damskiej” klatki schodowej (trzeba bowiem wiedzieć, że w moich zamierzonych czasach klatka schodowa pierwsza od wejścia była klatką dla chłopców, następna zaś służyła dziewczętom).

Naszą wychowawczynią była pani profesor Bronisława Budziszewska – matematyczka. Pracowała ona pierwszy rok u Zana, była więc także – podobnie jak my – nowa na tym gruncie. Nosiła zawsze ciemnoniebieski, jedwabny fartuch z rękawami, czego nie praktykowały inne nauczycielki. Nigdy nie podnosiła głosu, była cierpliwa, starała się wyjaśnić nam jak najprzystępniej matematyczne zawłości. Jako wychowawczyni wciągała nas w dyskusje, rozmowy o wszystkim, co mogło nas interesować. Wartość jej lekcji wychowawczych doceniłam dopiero wiele lat później i planowałam sobie, że odwiedzę kiedyś „Bronię”. Miałam nawet zapisany jej telefon, raz nawet dzwoniłam lecz nie zastawszy jej w domu nie ponowiłam próby nawiązania kontaktu. Pani profesor Bronisława Budziszewska zmarła latem 1987 roku.

Naszym wychowaniem religijnym zajmował się ksiądz Emilian Skrzecz, wówczas w pełni sił, obecnie bardzo już wiekowy, na emeryturze, ale uczestniczący, ku naszej radości, w dotychczas organizowanych jubileuszach i uroczystościach związanych z naszą szkołą. Na lekcjach religii uczyliśmy się między innymi pieśni kościelnych dostosowanych do roku liturgicznego. Śpiewaliśmy je potem i na mszach szkolnych, na których obecność była obowiązkowa i podczas gremialnej modlitwy przed lekcjami, na którą gromadzili się uczniowie z całej szkoły. Mistrzem ceremonii podczas modlitwy na naszym piętrze był Zbyszek Cisowski, prezes Sodalicii Mariańskiej chłopców, chłopak o niezwykłym uroku, niestety już nie żyjący. On to właśnie co rano dawał nam komendę „do modlitwy”.

Polski i łacine wykładał nam profesor Januszewski, zwany „Felkiem”. Był to człowiek o gołęmbim sercu, nieco flegmatyczny i tro-

chę bezradny w obcowaniu z młodzieżą, co ta ostatnia – rzecz jasna – natychmiast wykorzystywała. Na jego lekcjach pozwalaliśmy sobie na różne psikusy, pogaduszki i wygłupy w stopniu znacznie większym, niż to miało miejsce przy innych pedagogach.

Kontrastowo inne nastroje panowały na lekcjach historii, której nauczał profesor Mieczysław Warpechowski zwany „Pichciem” lub „Pechowerem”. O ile na lekcjach „Felka” byliśmy na luzie o tyle na lekcjach „Pechowera” dosłownie wiało grozą. Był nasz historyk – postacią – w gruncie rzeczy – dość zabawną, głównie z racji manieri chodzenia ze stopami zwróconymi na zewnątrz, co upodabniało go do słynnego Charlie Chaplina. Nosił zawsze czarną marynarkę i spodnie w czarno-szare paski. Garnitur ten, acz szalenie poważny teoretycznie, na figurze „Pechowera” wyglądał niepoważnie, albowiem był tak opięty, że zdawał się trzeszczeć. Pozostałe cechy, charakteryzujące naszego historyka to czarne, krótko przystrzyżone wąsiki oraz niezwykle tubalny głos i kresowy akcent. Tym głosem „Pechower” hipnotyzował nas jak wąż stadko młodych zajęcy. Kiedy, przechadzając się po klasie, grzmiał: „Jak wam dwóji wymaluj, to nabierzecie ochoty do nauki historii” – wtedy najwięksi rozrabiacze i wesołki milkli, wzywając wszystkich świętych, aby ich tylko nie wrywano do odpowiedzi.

Bardzo wesołe natomiast bywały lekcje biologii. Prowadziła je przemiła, ładna i wesoła profesor Jadwiga Hawryłkiewicz, była uczennica naszego gimnazjum. Program pierwszej klasy obejmował naukę o różnych pierwotniakach, gąsienicach, stawonogach i innym drobnym paskudztwie. Pani Hawryłkiewicz wymagała, aby na każdą lekcję przynosić żywe egzemplarze omawianego gatunku, które oglądaliśmy podczas lekcji pod mikroskopem *in vivo* lub uprzednio uśpione. Początkowo oględziny takie nie wywoływały większych emocji, bo oglądaliśmy różne pierwotniaki, tyle, że zawsze przy mikroskopie można było coś niecoś narozrabiać, odstawić jakiś mały numer, ku ucieście klasy. Hece w większym stylu zaczęły się w momencie, kiedy koleczy ze zrozumiałą gorliwością

zaczęli przynosić do klasy pająki, żaby, włochate gąsienice i inne stworzenia, na sam widok których wszystkie dziewczyny piszczały i uciekały w popłochu. Można więc sobie wyobrazić, co się działo na przerwach, kiedy rozradowani koledzy usiłowali nam wrzucić za kołnierze całą tę obrzydliwą „żywiołę”. Pani Hawryłkiewicz nie miała najmniejszego wpływu, ani zrozumienia dla dziewczyńskich odruchów obrzydzenia, gdyż – jak prawdziwie zamiłowany w swej dyscyplinie – biolog – brała sama w ręce każdą gadzinę, bez najmniejszego odruchu niechęci. Była przy tym młoda, bardzo ładna o wielkich ciemnych oczach. Po zakończeniu wojny wraz z mężem i synem wyjechała za granicę, gdzie przedwcześnie zmarła.

Równie swobodny nastrój panował na lekcjach geografii, które prowadził profesor Bohdan Zieliński, noszący przydomek „Sokole Oko” vel „Zielo”. To „Sokole Oko” było wyrazem naszego młodzieńczego okrucieństwa, bowiem profesor Zieliński miał jedno oko chore, zawsze – zwłaszcza zimą – zaczerwienione i łzawiące. Mimo tej naszej złośliwości lubiliśmy „Ziela”, a znając jego gawędziarskie skłonności, staraliśmy się na każdą lekcję przygotować jakiś temat – rzekę i niby to mimochodem bąknąć coś od niechcenia na ten temat. Profesor w dziewięćdziesięciu przypadkach na sto połykał haczyk i dalejże wyjaśniać rzecz od Adama i Ewy. Słuchaliśmy jego wpatrzeni jak w tęczę, umiejętnie go podjudzając, aż nie wiedzieć kiedy – odzywał się dzwonek i lekcja mijała „jak sen jaki złoty”, bez odpytywania i innych obrzydłych sztubackiemu sercu okrucieństw.

Profesor Zieliński był człowiekiem pogodnym, skromnym, bezpośrednim. Lubił młodzież i serio traktował swój zawód czego dał dowód w czasie okupacji, kiedy wziął na swoje barki ciężar i ryzyko kierowania tajnym nauczaniem na terenie Pruszkowa. Po wojnie wrócił do liceum Zana i nadal wykładał swoją ukochaną geografję. Uczestniczył jeszcze w jubileuszowym zjeździe na 30-lecie naszej szkoły w 1961 roku, ale był to ostatni rocznicowy występ naszego „Ziela”.

Całkiem inaczej rzecz się miała z francuskim, prowadzonym przez profesora Stefańskiego, przydomek: „Cebela”. Profesor Stefański był przeciwieństwem „Ziela” jakby wiecznie miał „za złe”, nigdy się nie uśmiechał, za to nader chętnie dźgał spłoszonych pierwszoklasistów igłami ironii, często ośmieszającymi. Wszyscy bali się go, bo jeśli odpowiedź nie wypadła dobrze, obrywało się nie tylko dwóję, ale i na dodatek jakąś szpilę. Jeśli uczeń zbyt długo ociągał się z odpowiedzią, „Cebela” mówił:

– No cóż stoisz? Słup telegraficzny też tak stał!

Kiedy nie umiało się odpowiedzieć na zadane po francusku pytanie: „Czym piszesz”, zniecierpliwiony profesor krzychał:

– No czym piszesz? Kopytem? To powiem ci jak po francusku kopyto!

Trudno więc się dziwić, że wszyscy drżeli przed panem Stefańskim. Nie znam jego powojennych losów – o ile wiem – do Zana po wojnie już nie wrócił.

Tak to przedstawiała się plejada naszych nauczycieli wykładających przedmioty obowiązkowe bo były i nadobowiązkowe: śpiew i rysunki. W obu tych szlachetnych gałęziach sztuki kształcił chętnych pan profesor Wacław Prusak, człowiek nader utalentowany, był bowiem zdolnym malarzem (wystawiał swoje prace w Zachęcie) i uznanym wokalistą (śpiewał w warszawskiej Operze, wprawdzie nie główne partie, ale jednak śpiewał). Był pan Prusak szarmancki, w trochę staroświeckim stylu, pogodny, zawsze chętny do wyjaśnienia, pomocy, udzielenia rady. Przekazywał nam też hojnie swoje wiadomości, choć byliśmy w wieku, kiedy na ogół nie docenia się wielu skarbów pchających się w ręce. Na szczęście zapamiętałam zdradzone nam przez pana Prusaka zasady łącznia barw, co jest teraz dla mnie nader cenną wskazówką, bowiem zapalałam na starość pasją haftu krzyżowego i mam, jak znalazł, znajomość uzyskiwania harmonijnych efektów kolorystycznych. Często więc wyszywając swoje ulubione krzyżyki, widzę pocziwą, dobrą twarz starego profesora

ra. Gdyby pan Prusak był tak piękny jak dobry, to mielibyśmy w Pruszkowie Rudolfa Valentino.

Dożył pan Prusak bardzo sędziwego wieku, choć ostatnie lata swego życia spędzał samotnie, po śmierci swojej matki, którą opiekował się do jej ostatniej chwili.

Rozpisałam się o profesorach, a przecież i kolegom płci obojga trzeba poświęcić trochę uwagi, zwłaszcza, że większość z nich – jak już wspomniałam – pamiętam. Pamiętam ich z tamtego roku, kiedy mieli po 13, 14 lat, postaram się więc ich opisać takimi, jakimi pozostali w moim wspomnieniu. Jeśli kiedyś moje wynurzenia wpadną w ręce kogoś z tej gromadki, niech je porówna ze swoimi i niech je zapisze. Może tą drogą zdołamy skleić niby mozaikę, obraz naszej pierwszej młodości?

A więc zaczynam od koleżanek, od pierwszego rzędu ławek pod oknami, w tej kolejności jak siedziały. I proszę z góry o wybaczenie, jeśli kogoś pomnę, ale pamięć to nie komputer, zatem nie miejcie za złe, lecz sprostujcie!

Krysia Zalewska – blondynka o ciemnych oczach, miła, ładna, dojeżdżała z Grodziska lub Milanówka.

Bieranowska – nie pamiętam imienia, przydomek „Bułeczka”, rumiana blondynka o bardzo niebieskich oczach.

Lilka Heinrychówna – okrągła, niebieskooka, wesoła.

Halina Oplustil – blondynka o tycjanowskim odcieniu, też dojeżdżała do szkoły.

Jąkalska – imienia nie pamiętam, mała, filigranowa, o piegowatym nosku i ciemnej krótko obciętej czuprynie.

Krysia Jurczakówna – miła, grzeczna, pogodna.

Basia Grabińska – o cichym kameralnym głosie i wielkich niebieskich oczach.

Basia Gnoińska – pozostaję z nią w przyjacielskich stosunkach do dnia dzisiejszego. Wówczas nosiła luźno zaplecione warkocze, skupiona, raczej małomówna.

Anka Szymańska – wysoka blondynka o nieco chłopięcym sposobie bycia, pasjami lubiła czytać kryminały pod ławką.

Wiesia Majeranowska – nieduża blondynka prowadząca z zapalem brulion ze słowami modnych przebojów, która czasem z przejęciem śpiewała, zwłaszcza Tango Nokturno.

Teofila Jakubowska – z nią także mam przyjacielski kontakt, w tamtych czasach była raczej cicha i spokojna.

Halina Kwalikówna – nieduża, ruchliwa o obrotnym języku, wesola.

Janka Karwowska – kontakty z nią bywają zależne od kaprysów ślepego trafu, to jest od przypadkowych spotkań, jako że Janeczka odsunęła się – nie wiedzieć czemu – od dawnych kolegów.

Marysia Ryniewska – wysoka, ciemna, dzieląca z Wiesią Majeranowską zarówno ławkę, jak i pasję do szlagierów.

Zenka Myśliwska – moja sąsiadka z ławki. Dziewczyna o pięknej figurze, wybitnie zgrabna, czym wyróżniała się na tle naszym – niewypierzonych podlotków.

Zośka Łosiewicz – to ja: wysoka, trochę tyczkowata, ale za to miałam bardzo długie warkocze, przedmiot ogólnego podziwu, a moją dumę i zgryzotę, bo było z nimi niemało kłopotów.

Baśka Woźniakowska – wysoka, piękna dziewczyna o regularnych rysach kamei. Mimo jednak anielskiej urody potrafiła w razie potrzeby bardzo dzielnie stawać w szrankach słownych pojedynków.

Krysia Włodarkiewiczówna – wybitnie piękna brunetka o cygańskim typie urody. O ile mi wiadomo, zginęła podczas okupacji przyłapana na przenoszeniu broni.

Tyle o koleżankach. Koledzy, trzeba to obiektywnie stwierdzić, jakoś mniej byli zróżnicowani, choć już wtedy niektórzy zdradzali pewne indywidualne cechy. Stefan Goetz, na przykład, miał zwyczaj kładzenia na podłodze, tuż obok ławki, karki papieru z zeszytu. Następnie, wychylony ze swego miejsca, celował weń przy pomocy obsadki ze stalówką. Było to jego ulubione zajęcie na wielu lekcjach.

Staś Kowalski natomiast, który odznaczał się tym, że do szkolnego mundurka zamiast przepisowej białej koszuli nosił żółty golf. Był dość drażliwy i często kłócił się zjadle z kolegami.

Groblewski i Jeżak byli tymi, którzy najczęściej przynosili na biologię różnych owadów, które potem z szatańskim uśmiechem rozpuszczali po klasie.

Resztę męskiej części klasy stanowili: Kaczkowski (nie pamiętam imienia), Piekarczyk (zdaje się Janek), Wiesiek Loch (już nieżyjący), Zbyszek Dziewałtowski, Tadeusz Kostrzewa, Jerzy Romisz (już nie żyje), Leszek Kolasiński (zginął od bomby zrzuconej na Pruszków 1 września 1939 roku), Gajewski, Zbyszek Rybiński, Bondar, Witek Zubielewicz, Zdzisław Kowalik, Pawlicki.

Nie wiem, czy przytoczyłam wszystkie nazwiska naszych kolegów. Ci, których nie wymieniłam, zechcą mi wybaczyć, jeśli im kiedyś w ręce wpadnie niniejsze wspomnienie. Na swoje usprawiedliwienie mam wszakże fakt, że stanowiliśmy klasową społeczność jedynie przez jeden rok szkolny, przez zaledwie dziesięć miesięcy. Nie zdążyliśmy żyć się, ani też dorobić się jakiś bardziej znaczących przeżyć. Poza lekcjami spotkaliśmy się tylko dwa razy w ciągu tamtego roku szkolnego. Pierwszym razem był to wypad do teatru z naszą wychowawczynią panią Budziszewską, na sztukę: „Kościuszek pod Racławicami”, ale wówczas były tylko cztery osoby wybrane z klasy: Basia Gnoińska, Leszek Kolasiński (gospodarz klasy), Jeżak i ja.

Drugi wypad, już z całą klasą, miał miejsce w ostatni dzień roku szkolnego, kiedy to tradycyjnie cała szkoła Zana udawała się na wycieczkę do lasu, gdzieś w okolice Komorowa. Dziewczęta w białych bluzkach, wełnianych plisowanych spódnicach i granatowych beretach na głowach, choć z nieba lał się czerwcowy żar, chłopcy w mundurkach i czapkach. Całe to bractwo poustawiane klasami – ruszyło, biało-granatowym strumieniem w stronę Komorowa, za nimi zaś w kilku wynajętych na ten cel bryczkach – ciało pedagogiczne. Można sobie wyobrazić ogólny entuzjazm, kiedy dobrnęliśmy wreszcie do celu naszej wędrówki, kiedy po

marszu w czerwcowym słońcu w naszych ciężkich, acz przepiślowych ubrankach, można było nareszcie usiąść w cieniu, ochłodzić się i odpocząć. Zaraz zaczęły się zabawy, śpiewy, wrócił humor i werwa. Ku pokrzepieniu wycieczkowiczów zajeżdżał zamówiony wóz, przywożący dla nas z leśniczówki mleko „prosto od krowy”. Droga powrotna upamiętniła się nieprawdopodobnie gwałtownym deszczem, który zastał nas w szczerym polu. Zmokliśmy wszyscy, ale któżby się tym martwił mając kilkanaście lat?

Byliśmy nadal rozbawieni, pełni wrażeń i marzeń o bliskich wakacjach, nie przeczuwając, że zbliża się nieuchronnie klęska, która pozbawi nas beztroskich wakacji już na zawsze.

PAMIĘCI WŁODKA PALCZARSKIEGO „MORYCA”

Moje wspomnienie nie pochodzi z lat chwały naszej kochanej „budy” im. Tomasza Zana, czyli z lat poprzedzających wybuch wojny. Przedstawię obrazek z okresu lat 1941–1943, kiedy namiastką szkoły średniej były Kursy Przygotowawcze do Szkół Zawodowych II stopnia.

Taką tylko formę nauki ponadpodstawowej tolerowali niemieccy okupanci. Nie trudno się jednak domyśleć, że pod tym tyleż długim, co idiotycznym szyldem odbywały się lekcje według programu II i IV klasy gimnazjum ogólnokształcącego. Dyrektorem był profesor Bohdan Zieliński – człowiek opatrnościowy tajnego nauczania w Pruszkowie.

Na II roku Kursów, czyli w IV gimnazjalnej, miałam szczęście znaleźć się w tej samej klasie co Włodek Palczewski o przydomku „Moryc”. Była to postać zupełnie jak z humorystycznej powieści dla młodzieży. Jego niezwykle poczucie humoru, błyskotliwe odzywki (często podczas lekcji) budziły salwy śmiechu, nawet u wykładowców, którzy nie mogli zachować powagi wobec ładunków dowcipu w conceptach Moryca.